

# Tadeusz Zgółka

---

## Oni nam mówią

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (16), 77-83

---

1992

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

„demitologizacji” problemu „Norwid”. I dlatego warto tę książkę przeczytać.

Joanna Zach-Błońska

## Oni nami mówią

Nawet jeśli się nie jest wyznawcą tzw. *general semantics*, która głosiła, że zło tego świata uwarunkowane jest przez przypadłość języka, nie można nie zauważyć, że nowomowa stanowiła (i w jakiejś mierze stanowi nadal) istotny współczynnik kryzysu społecznego, że wpływa na jego przebieg i utrudnia jego rozwiązanie.<sup>1</sup>

Myszę, że ta właśnie deklaracja najdokładniej charakteryzuje istotę polskiej dyskusji toczonej przez kilkanaście ostatnich lat na temat nowomowy. Dziwna jest bardzo ta dyskusja. Przede wszystkim dlatego, że na dobrą sprawę nie ma definicji nowomowy, a zakres tego terminu jest dość dowolnie konstruowany. Pewne oczywistości są co prawda niezmiennie: nowomowa została wytworzona przez aparat ideologiczno-propagandowy „czerwonych totalitaryzmów” i stosowana jako język oficjalny. Poza tymi użyciami i użytkownikami jest oceniana źle jako „drętwa mowa”, „drewniany język”, „język sowiecki”, „język propagandy totalitarnej”. I to właściwie wszystko, co pewnego o nowomowie można powiedzieć. Na dodatek zaś, nawet te oczywistości zaczynają być nie całkiem oczywiste, kiedy mówi się np. o dekonstrukcjonizmie jako nowomowie<sup>2</sup> (może więc nowomowa istnieć poza totalitaryzmem politycznym?), albo buduje się skądinąd kuriozalną językowo kategorię neonowomowa na określenie języka propagandy posttotalitarnej. Ktoś mógłby powiedzieć, że to tylko spory terminologiczne. Kiedy jednak próbuje się określić istotę lingwistyczną nowomowy, to okazuje się, że — już teraz pomijawszy spory terminologiczne — jest to równie trudne, jak zakreślenie denotacyjne. Za przedmiot biorąc dwie — skądinąd znakomite — książki Michała Głowińskiego spróbuję pokazać właśnie owe kłopoty z nowomową, a właściwie z poszukiwaniem jej istoty. Pierwsza z tych książek to swoisty, kolejny w dziejach notatnik filologa zatytułowany *Marcowe gadanie*, a druga — *Nowomowa po polsku*. *Marcowe gadanie* można uznać za kontynuację V. Klemperera *LTI* (nawiasem mówiąc — dziwnym jest brak lub rzadkość odwołań tych,

<sup>1</sup> M. Głowiński *Nowomowa po polsku*, Warszawa 1991, PEN, s. 89.

<sup>2</sup> Por. W. Skalmowski *Dekonstrukcjonizm literacki jako „nowomowa”*. „Teksty Drugie” 1990 nr 2, s. 7–17.

którzy piszą o nowomowie, właśnie do brunatnej nowomowy śledzonej w notatkach V. Klemperera). Jednocześnie zaś M. Głowiński zapowiada następny tom filologicznych notatek, który miałby się nazywać *Pe-ereliada*. Układ zostanie zapewne ten sam, znajdować się tam będą datowane notatki z lat 1976–1981, a ich wybór już się pojawił w „Gazecie Wyborczej” i „Polityce” z końca 1991 roku.<sup>3</sup> Spróbujmy — mimo odnotowanych kłopotów definicyjnych — odnaleźć choć kilka cech charakterystycznych polskiej nowomowy.

Pierwsza wydaje się szczególnie ważna z punktu widzenia samej „filologiczności”. Otóż wydaje się, że wbrew pozorom filolog (językoznawca) jest wobec nowomowy bezradny. Oczywiście można poszukiwać tych cech, które są najbardziej charakterystyczne właśnie dla nowomowy. Próbowano to robić wiele osób, wszakże bez powodzenia. Ta sama bezradność jest widoczna także w obu książkach M. Głowińskiego. Tropiąc nowomowę M. Głowiński sięga i do publicystyki, i do hasłał propagandowych wyborów w czerwcu 1989 r., i do tekstów z zakresu marksizmu-leninizmu, a nawet do poezji. Okazuje się, że wszędzie tam nowomowa przeniknęła. Nie jest ona zatem cechą jednego stylu, pojawia się w publicystyce, humanistyce, poezji, w hasłach wypisywanych na murach. W genologii lingwistycznej nie da się jej zakwalifikować do którejś z tradycyjnie wyodrębnianych odmian stylowych.

Nie można wskazać tych słów czy frazeologizmów, które powinny się znaleźć w słowniku polskiej nowomowy. Musiałby się zatem pojawić zarówno *radziecki*, jak i *sowiecki*, *naród*, *partia*, *socrealizm*, *solidarność*, *autorytet*, *wróg* itd. itp. Obok nich — hasła leksykalnych — należałoby umieścić także spory wykaz frazeologizmów, i to nie tylko takich, jak *Proletariusze wszystkich krajów...*, lecz również *woda na młyn*, *oderwany od życia*, *odwrócić uwagę...* Nie sposób także odnaleźć mechanizmów używania słów przez tych, którzy posługują się nowomową. Jako taki przykład fleksyjny użycia słowa podaje się — czyni to także M. Głowiński — mianownik liczby mnogiej: *my*. Forma ta ma być przede wszystkim „znakiem wspólnoty i solidarności”.

Charakter i zakres tej wspólnoty zależy od sytuacji; „my” oznaczać może cały naród, partię, „siły postępowe kraju”, „siły postępowe świata” itd. Często oznacza nie tyle samą władzę, ile jakąś zagadkową „wspólnotę socjalistyczną”. Mówi się wtedy np.: „zgodzamy się z tą koncepcją”, „jest to nam obce” (domyślać się trzeba, że „klasowo” lub „ideologicznie”). „My” brzmi groźnie zwłaszcza w przemówieniach polityków na najwyższych stanowiskach, służy formułowaniu nakazów bądź zakazów. W wielu wypadkach jest zaś znakiem demagogii: mówiący sugeruje, że nie przemawia tylko we własnym imieniu, że

<sup>3</sup> „Gazeta Wyborcza” nr 301 (28–29 grudnia 1991), s. 14–15; „Polityka” nr 51–52 (21–28 grudnia 1991), s. 7.

stoi za nim zbiorowość, z którą się utożsamia. Tym przede wszystkim „my” z języka współczesnych oficjalistów różni się od starego pocziwego *pluralis majestaticus*, który był tylko godnością konwencją.<sup>4</sup>

Zdania zaczynające się od „my, Polacy” odwołują się z reguły do najprostszych mitów narodowych, do najbardziej stereotypowych wyobrażeń na temat własnej wspólnoty. Często służą one utwierdzeniu czytelnika w najbanalniejszej megalomanii narodowej.<sup>5</sup>

W poszukiwaniu istoty nowomowy sięga się także do tego, co można by uznawać za jej specyfikę komunikacyjną. Na ogół powiada się, że konstrukcje nowomowy „pozostają poza prawdą i fałszem”. Jest to tak samo oczywiste, jak i powszechne „rozmywanie” znaczeń słów używanych nie po to, aby precyzyjnie coś zakomunikować, lecz po to, aby osiągnąć skutek perswazyjny zamierzony przez ideologa. Ta właściwość jest jednak charakterystyczna dla wszelkich tekstów perswazyjnych, choćby tak odległych od nowomowy, jak reklama nie mająca wszak wiele wspólnego z totalitaryzmem.

Wbrew sądom niektórych lingwistów chciałbym więc zaproponować diagnozę następującą: nowomowa nie jest kategorią lingwistyczną, lecz publicystyczną. Sygnalizowałem wyżej niektóre powody bezradności językoznawcy wobec nowomowy. Powinien on wytropić te właściwości, które pozwalałyby na konstatacje *stricte* naukowe, a jednocześnie poddać nowomowę bezstronnemu oglądowi badawczemu tak, aby nie angażować w te naukowe procedury żadnych wartościowań.

Tymczasem — jak się wydaje — nowomowa bez podejścia aksjologicznego w ogóle nie da się spostrzec. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że do tej kategorii można zaliczyć tylko takie sposoby posługiwania się językiem, które są negatywnie wartościowane. Wartościowanie tego rodzaju można dostrzec na każdym poziomie: etycznym, estetyczno-artystycznym, poprawnościowym, logicznym a nawet — co może wyglądać paradoksalnie — pragmatyczno-perswazyjnym.

Nowomowa jest szkodliwa etycznie, bo jest narzędziem propagandowej manipulacji (wystarczy zwrócić uwagę choćby na dwa przykłady: stereotypizację pewnych pojęć, zwłaszcza po to, aby w samo słowo wbudować niechęć lub wręcz nienawiść oraz stosowanie eufemizmów po to, aby w sposób niejawni kłamać). Z punktu widzenia estetyczno-artystycznego M. Głowiński postrzega nowomowę (zwłaszcza pewne jej odmiany) jako kicz. Wytyka także sporo prymitywnych — na granicy poprawności językowej — sformułowań zwanych machejkizmami. Wreszcie owa — na pozór paradoksalna — nieskuteczność pragmatyczno-perswazyjna.

<sup>4</sup> M. Głowiński *Marcowe gadanie. Komentarze do słów 1966–1971*, Warszawa 1991, POMOST, s. 89.

<sup>5</sup> Tamże, s. 106.

Otóż nowomowa to język propagandy złej, nieskutecznej, prymitywnej. Taką diagnozę można wyczytać również z omawianych książek M. Głowińskiego, choć nie tylko z nich. Wspomniałem przed chwilą o tym, że nowomowa jest nieokreślona i nie do określenia. Cechy, które można jej przypisać, powtórzą się choćby w przypadku reklamy. Tyle tylko, że reklama może być apolityczna i wzbudzać emocje wyzbyte na ogół warstwy polityczno-ideologicznej. Odwrotnie jest w przypadku nowomowy, która wartościowana jest przede wszystkim właśnie politycznie. Wartościowanie to ma zresztą charakter wtórny, niejako pochodny. Wierny aparatczyk — wyznawca i realizator określonej polityki i ideologii, używający języka służącego propagowaniu jednej i drugiej, nie powinien oczywiście tego języka nazywać w sposób niechętny czy wręcz pogardliwy. Taka zaś jest wartość emocjonalna „nowomowy” jako nazwy. Bo nie jest to przecież nazwa neutralna. Jest ona używana przez przeciwników establishmentu zwanego skądinąd reżimem. Nazwy zaś używa się po to, by zdyskredytować. Zdyskredytować zaś można korzystając z każdego aspektu.

Wróćmy teraz do cytatu przywołanego na początku. Otóż przypuszczenie, że „zło tego świata uwarunkowane jest przez przypadłość języka”, istotnie nie tylko zwolennicy semantyki ogólnej wyznają. Podejrzliwość wobec języka jest raczej powszechna we współczesnej humanistyce postmodernistycznej. Kategoria nowomowy może być potraktowana jako jeden z przejawów owej podejrzliwości. Spróbujmy — w kontekście nowomowy — odpowiedzieć na pytania o źródła takiej podejrzliwości.

W tradycyjnej semiotyce przyjmowało się m. in. zasadę przezroczystości znaku i języka. Oznaczała ona — najprościej rzecz ujmując — to, że płaszczyzna *signifiant* zarówno dla nadawcy jak i odbiorcy jest li tylko niepostrzeżalnym narzędziem, środkiem, pośrednikiem niezbędnym do realizowania tego, co istotne: płaszczyzny *signifié*, komunikatu, znaczenia, wartości semantycznej, mocy perswazyjnej itp. Przezroczyste *signifiant* nie przyciąga uwagi, nie jest przedmiotem zainteresowania poza kręgiem specjalistów — np. lingwistów. Ci z kolei tak bardzo skoncentrowali się na analizie samego *signifiant*, że nie zauważają przezierającego przez nie *signifié* (nawet jeśli bardzo szczegółowo analizują semantykę). Nieprzezroczystość dostrzega się niemal wyłącznie w tekstach poetyckich realizujących tzw. funkcję autoteliczną.

Uchwycenie istoty nowomowy to mechanizm demaskacji inicjowanej pytaniem: jak oni to robią? Pytanie tak postawione każe patrzeć na kilka rzeczy naraz: na to, kto to robi, jakie są jego cele, jakie mechanizmy stosuje, co się dzieje ze zwykłymi, codziennymi słowami i ich formami gramatycznymi. Wszystkie te szczegółowe pytania można by właściwie

sprowadzić do dwu słynnych pytań Gnoma (Gomułki): „kto za tym stoi i komu to służy?”. Odpowiedzi na nie muszą prowadzić do demaskacji rozpoczynanej od zakłócenia, zmatowienia przezroczystości. Wyznaje się zasadę: patrzmy im na słowa. Coraz bardziej też rysuje się pęknięcie między „my” i „oni”. W tym kontekście za wielce symptomatyczne można uznać to, że *Marcowe gadanie* rozpoczyna się od notatki zatytułowanej *Oni*. Dostrzeżenie dystansu wobec „onych” może być sygnałem do czujności, patrzenia „onym” na słowa i notowania ich.

Nowomowa to sposób posługiwania się językiem właśnie przez „onych”. To z kolei jest podstawą do oceny — oczywiście bezwzględnie negatywnej. Powody negatywnej oceny są co najmniej dwa: z jednej strony to, że „onych” ocenia się negatywnie również z innych względów, z językiem nie mających nic wspólnego, a z drugiej — także sam język propagandy. „Oni” mogą ten język poddawać ciąglemu „dalszemu doskonaleniu”, „my” natomiast czujnie poszukiwać będziemy wszystkich mechanizmów niecnych, nieuczciwych, ogłupiających. Toczy się pojedynek między „onymi” i „nami”. Wszakże w momencie odkrycia w jakichś notatkach filologa reprezentującego „nas”, że „oni” posługują się nowomową, czyli w momencie dokonania demaskacji, „oni” są bez szans. Nowomowa zdemaskowana nie tylko okazuje się nieuczciwa, manipulacyjna, „machekowato” niesprawna, ale też właśnie ze względu na demaskację bezradna, nieskuteczna perswazyjnie. Wtedy już nie pomoże żadne „dalsze doskonalenie”. Wystarczy wyraziste pęknięcie między „my” i „oni”. Wszystko, co w propagandzie powiedzą „oni”, „my” poddamy czujnemu oglądowi, żeby odkryć manipulację. Cytuje M. Głowiński przykład odróżnienia na „nasze” i „onych” niemal absurdalny, bo leżący na granicy pewnej schizofrenii onomastycznej: Szewińska zdobyła złoty medal, a Kirszensztajn zgubiła pałeczkę w sztafecie.

Trudno jednoznacznie przesądzić, czy dla tropienia nowomowy ważniejsze jest najpierw ukształtowanie się opozycji „my” i „oni”, a potem manifestowanie się tej opozycji w języku, czujne tropienie mechanizmów propagandy „onych”, czy też sam sposób posługiwania się językiem prowadzi — w rezultacie — do odróżnienia „nas” i „onych”. W notatkach M. Głowińskiego można zauważyć pewną prawidłowość. „Onych” dostrzega filolog w sierpniu 66, a kończy serię notatek w czerwcu 71. W tym czasie dokonują się dwa wielkie przesilenia między „my” a „oni”: marzec 68 i grudzień 70. Zapowiadana w „Gazecie Wyborczej” *Pe-reliada* ma zawierać notatki z lat 1976–81, czyli między powstaniem KOR-u a stanem wojennym. Systematyzacja zaś, czyli cykl kolejnych rekonesansów dotyczących *Nowomowy po polsku* pochodzi z lat 1978–89. Czyżby podział na „nas” i „onych” został neutralizowany w latach *hossy* gierkowskiej, tzn. w latach 1972–75? Nie było wtedy

powodu do prowadzenia dziennika nowomowy? Niewykluczone. Może idiotyczność haseł typu *Polak potrafi* albo *Żeby Polska rosła w siłę a ludzie żyli dostatniej* dała się dostrzec dopiero, kiedy „oni” wprowadzili kartki na cukier, przez „onych” zwane bonami towarowymi (to już przykłady z *Peereliady*). A wcześniej potrafili uspić „naszą” czujność i przestaliśmy „onym” patrzeć na słowa?

Niezależnie od tego, czy tak istotnie było, odkrycie nowomowy wymaga demaskacji „onych”, dla których nowomowa jest językiem propagandy. Chwyty stosowane w nowomowie można spotkać w każdej innej odmianie propagandy, reklamy, perswazji społecznej. Nie uda się, próbowała to czynić np. A. Wierzbicka<sup>6</sup>, wytropić czysto gramatycznych chwytów — np. słowotwórczych — charakterystycznych li tylko dla nowomowy. Te chwytury są złe dlatego, że są stosowane przez „onych”. Nie ma przyrostków totalitarnych i antytotalitarnych. To tylko „oni” są totalitarni i w tym celu uprawiają propagandę posiłkując się nowomową.

Należałoby oczekiwać, że zniknięcie podziału na „my” i „oni” spowoduje też zniknięcie nowomowy z pola widzenia filologów (publicystów). Jeśli bowiem jej istotą jest właśnie ów podział, to neutralizacja opozycji powinna sprawić atrofię języka „onych”. Wydaje się, że takie oczekiwanie jest jednak nazbyt optymistyczne. Dyskusja o nowomowie wywołała u Polaków swoisty rodzaj alergii. W czasie terapii, której skutkiem miało być wytworzenie mechanizmów obronnych, być może przedawkowano specyfiki tak, że najdrobniejsze nawet podobieństwo propagandowe do języka „poprzednich epok” wywołuje reakcję obronną. Stąd wspomniana wcześniej neonowomowa, wychwytywanie w wypowiedziach przedstawicieli nowej władzy wszystkiego, co choćby konstrukcją frazeologiczną przypomina wcześniejsze slogany, a także wyznawanie przekonania — nie potrafię powiedzieć na ile trafnego — że „nowomowa po polsku” nadal jest praktykowana. Oto jeden z językoznawców postanowił śledzić prasowe relacje z IV pielgrzymki papieskiej z roku 1991. A oto jego konkluzje po krytycznym przeglądzie doniesień:

Refleksje Głowińskiego z *Nowomowy po polsku* pozostają niestety w większości aktualne, choć oczywiście odnoszą się dzisiaj do mniejszego zakresowo materiału. Sposób relacjonowania przez część gazet IV pielgrzymki Ojca Świętego do Polski nie był bez wątpienia rzetelnym informowaniem. Wybiórcze i tendencyjne dobieranie faktów, świadome zestawianie obok siebie artykułów i notatek, których sąsiedztwo wywoływało samoistnie efekt zjadliwego komentarza, zmiany w rozłożeniu przez Papieża akcentów, rozmyślnie

<sup>6</sup> A. Wierzbicka *Język antytotalitarny w Polsce: o pewnych mechanizmach samoobrony językowej*, „Teksty Drugie” 1990 nr 4, s. 5–30.

nieudolne streszczenia jego wypowiedzi, rozpowszechnianie niesprawdzonych wiadomości — wszystko to należało do niejednokrotnie stosowanych praktyk.<sup>7</sup>

Ponieważ J. Liberek równie ostro karci „Tygodnik Solidarność”, „Gazetę Wyborczą”, „Wprost” i „Nie” mogłoby to sugerować, że dawni „oni” rozsiedli się po różnych stronach nowych podziałów politycznych i dalej manipulują. A może to tylko alergja zmusza do czujności w dawnym stylu. Przestraszono nas bowiem, że być może to nie my mówimy językiem ani — jak chcą niektórzy poststrukturaliści — nie język nami mówi, lecz że zawsze groźni „oni” nami mówią.

Tadeusz Zgółka

## O podręczniku „Młoda Polska” z r. 1991 nie tylko polemicznie

Nareszcie jest! Czytając młodopolski tom nowej wersji warszawskiego podręcznika *Literatura polska*<sup>1</sup>, jego część trzecią, trudno oprzeć się takiej właśnie konstatacji. Dlatego przede wszystkim, że ów okres literacki pozbawiony był od dawna kompendium odpowiadającego choć w części współczesnym wymogom, podczas gdy pozostałe segmenty dziejów piśmiennictwa i literatury pięknej zostały precyzyjnie zrekonstruowane w obszernych monografiach i syntezach akademickich, sporządzonych przez wybitnych specjalistów. To brakujące ogniwo w zestawieniu z seriami podręcznikowymi, jakie w ostatnich dwóch dziesięcioleciach zostały opublikowane pod redakcją Kazimierza Wyki i Jerzego Ziomka, kojarzyło się obserwatorowi naszego gospodarstwa historycznoliterackiego — można by rzec — z „pustką” i „otchłanią”, stałymi składnikami świata młodopolskiej wyobraźni... Albo inaczej. Jak przed stuleciem przedstawiciele warszawskiego „inteligentnego proletariatu” z nadzieją i obawami czekali na modernizm<sup>2</sup>, sposobiąc się do adaptacji nowoczesnych propozycji kształtowania kultury, utajonych w sieci jeszcze niezupełnie jasnych, niekiedy zaledwie intuicyjnie odczytywanych „izmów” zachodnioeuropejskich, tak w latach ostatnich znawcy i miłośnicy Młodej Polski czekali niecierpliwie, acz niepomiernie dłużej, na

<sup>7</sup> J. Liberek *Prognoza pogody*, „Czas kultury”, wrzesień–październik 1991, s. 31–32.

<sup>1</sup> J. Kulczycka-Saloni, I. Maciejewska, A. Z. Makowiecki, R. Taborski *Młoda Polska*, Warszawa 1991, w serii *Literatura polska*.

<sup>2</sup> Zob. R. Zimand *„Dekadentyzm” warszawski*, Warszawa 1964.